Rok VII. **Listopad 1882.** **Nr. 11.**



Wychodzi we Lwowie z końcem każdego miesiąca Wkładka roczna z prenumeratą wynosi **1** zł. **20** ct. Dla nauczycieli ludow. i uczniów **tylko 70** cent. z przesyłką **82** ct.

MIESIĘCZNIK
galicyjskiego
TOWARZYSTWA OCHRONY ZWIERZĄT.

Administracya i ekspedycya we **Lwowie** ulica Teatyńska liczba 23, dokąd też wszystkie przesyłki, wkładki i prenumeraty adresować należy.

Odpowiedzialny redaktor: Dr T. Ciesielski.

Pomocy dla ptaków!

Niesienie pomocy ludziom, dotkniętym tak ciężko tegorocznemi klęskami elementarnemi, absorbuje prawie całą humanitarność ludzką. Po utracie częściowej lub zupełniej obfitych tegorocznych zbiorów przez długie słoty i niepamiętne ludziom powodzie, zamożni stali się ubogimi a miejsce obfitości zajęła troska o jutro. — Rządy i całe społeczeństwo niosą czynną pomoc nieszczęśliwym.

Któż jednak pomyśli o tych naszych skromnych pracownikach, które wiernie pomagały rolnikowi, a którym także zagraża głód i ciężka zima. — Każda zima jest dla nich klęską elementarną, w której ich giną tysiące.

Nie zapominajmy i o nich. Naszego szczupłego grona jest obowiązkiem nieść pomoc ptakom naszym, które nas nie opuszczają, które dzielą z nami dobrą i złą dolę

Nauczyciele ludu! do was odzywamy się z całą otuchą! Zachęcajcie dzieci, pieczy waszej poruczone, do spólnej litości, urządzajcie około szkółek stoły dla biednych ptaków. Nie znamy lepszego sposobu wpajania dzieciom potrzeby ochrony ptactwa, jak żywienie ich w zimie. — Dziecko, które im garstkę rzuci pożywienia w zimie, pewnie na wiosnę i w lecie krzywdy nie wyrządzi swym wychowankom.

Los ptaków w miastach jest o wiele smutniejszy. Nie ma tu ani brogów ani stogów i przy bydlęciu się nie pożywi. Urządzamy dla nich, jak każdego roku — pomoc ze składek dobrowolnych,

Kto może, kogo stać na to, niech nam pomoże. Z wdzięcznością przyjmiemy choćby najmniejszą ofiarę.

Obrazki z życia zwierząt.

Pies strażakiem. W zimie 1865 straszna burza nawiedziła zatokę Valparaiso. Mnóstwo okrętów rozbiło się o skałę, na brzegu widać było stosy połamanych desek, wyrzuconych przez fale, a wśród tych szczątków spostrzeżono tonącego psa. Rybacy ulitowali się nad nim, i wyciągnąwszy z wody nazwali go Cuatro Remos, co znaczy czworonożny.

Był to piękny i wielki pies rasy bolońskiej, niesłychanie zmyślny i przebiegły. Na ulicy biegł za przechodniami, których ubiór wskazywał pewną zamożność i póty szczekał, póty wymownemi ruchami wzywał litości, dopóki nie dostał miedziaka. Ubogich ludzi nigdy jednak nie napastował o jałmużnę. Otrzymawszy pieniądz, biegł do kawiarni de la Bolsa i rzucał go na stół, za co dostawał kawałek chleba z szynką lub inny jaki przysmak. Jeżeli nie był głodny, zakopywał miedziaki w ziemię i potem w razie potrzeby wygrzebywał swoje kapitały. W końcu jednak postanowił wziąć się do pracy i wybrał sobie zawód, o którym żaden pies jeszcze nie zamarzył — wstąpił do straży ogniowej. Podczas manewrów maszerował zawsze naprzód, z miną poważną przyglądając się wszystkiemu; skoro jednak zadzwoniono na alarm, Cuatro Remos biegł naprzód jak szalony, szczekając i ujadając, dopóki nie ugaszono pożaru. Kiedy siekawki zawracały do domu, uciszał się natychmiast i dumny poczuciem spełnionego obowiązku, szedł spocząć na laurach. Wkrótce jednak pożyteczniejsze obrał sobie zajęcie. W Chili stróże nocni oznajmują pożar za pomocą gwizdawki; otóż zmyślny pies, krążąc ciągle po mieście, pierwszy słyszał ten sygnał i biegł natychmiast do stróża, który mu wskazywał palcem, w której stronie się pali. Cuatro Remos pędził wtedy do kwatery i szczekając, poprzedzał sikawki, wskazując miejsce pożaru.

Za te wszystkie zasługi, gubernator ogłosił dekret, w którym polecił żywić i utrzymywać tego psa. Rybak za to, że psa tego zranił nożem, został skazany na trzymięczne więzienie.

Raz zamknięto go przypadkiem w sali giełdowej. W nocy wybuchł pożar w mieście. Nazajutrz rano znaleziono psa na pół nieżywego. Usłyszawszy sygnał dobrze mu znany, rzucił się do okna, połamał zęby o żelazne kraty, z wściekłości podarł papiery i nakoniec padł wyczerpany.

W roku 1869 żył jeszcze, ale był już stary i niedołężny, w rok potem przepadł bez śladu. — Wszyscy go żałowali.

Osobliwe zdarzenie z kawką. W roku 1874 w miesiącu Lipcu, wyjechałem na wakacye do Zakopanego i stanąłem z moim przyjacielem Dr. Władysławem Bylickim, (znanym dziś we Lwowie lekarzem) w domku górala Galarowskiego, niedaleko tamtejszego kościółka. Jednego dnia, a była to niedziela i słońce pięknie świeciło, wstałem rano, otworzyłem okno; dla wpuszczenia cudownie aromatycznego powietrza i zacząłem robić moją tualetę. Naraz coś zatrzepotało u otwartego okna; spoglądam i widzę siedzącą w niem dużą kawkę (Corvus monedula), która wyciągnąwszy szyję, rozgląda się po całym pokoju. Trwało to z kilka minut, poczem kawka frunęła i usiadła na poręczy krzesła, stojącego przy łóżku, gdzie mój towarzysz z kołdrą na głowie, spał jak zabity. Zdziwiony tą niezwykłą familjarnością u dzikiego ptaka, wołam na mego przyjaciela, aby go obudzić. Ten się zrywa, i zaspanemi jeszcze oczami, nie może sobie od razu zdać sprawy z obecności ptaka tuż obok siedzącego. Nareszcie przypatruje mu się bliżej i powiada do mnie: „a! to ta sama kawka, którą wczoraj uratowałem od śmierci!“ — Co? jak? kiedy? niceś mi o tem nie mówił, pytam jeszcze bardziej zaciekawiony. — Rzecz się tak miała, odpowiada mi na to mój towarzysz:

„Wczoraj jak wiesz, robiłem z paniami wycieczkę do Kościeliskiej doliny. Wracając, widzimy, jak tuż niedaleko drogi, chłopaki wiejskie uganiają się z kijami za jakimś ptakiem i chcą go zabić. Ptak nie mógł uciekać, bo miał przetrącone skrzydło i nogę. Już, już go doganiali, kiedy kazałem furmanowi stanąć, zsiadłem z woza, i krzyknąwszy ostro na chłopaków, odpędziłem ich od zmęczonego ptaka. Następnie widząc jego złamaną nogę, za pomocą kawałka tasiemki, obandażowałem ją i puściłem uszczęśliwionego ptaka w krzaki. — Patrz, mówi do mnie Dr. Wł. Bylicki, nie mylę się, że to ta sama wczoraj uratowana od śmierci kawka, bo ma na nodze mój bandaż z tasiemki“.

W samej rzeczy. nie było pod tym względem żadnej wątpliwości, że to ten sam ptak zjawił się w swojej osobie. Ale jak on tu trafił do naszej stancyjki aż z pod Kościeliskiej doliny, czyli o dobre pół mili drogi? jak będąc już w samem Zakopanem, trafił do naszego domku, stojącego wśród kilkudziesięciu innych?, jak wiedział, że tu mieszka jego ochrońca? i czy to zmysł lub jakieś uczucie, czy też po prostu jakiś dziwny traf sprowadził go do naszej stancyi? Traf ten jest tem dziwniejszy, że kawka zabawiwszy

u nas z godzinę, nakarmiona przez nas odleciała, aby na drugi dzień znowu powrócić. Takie wizyty odbywały się przez cały tydzień, aż ją z oczów zupełnie straciliśmy. Nie słyszeliśmy przytem, aby ktoś z okolicy posiadał oswojonego ptaka tego gatunku, chociaż z nami czuła się kawka zupełnie swobodną, jadła z ręki i skakała po stole i stołkach. Fakt ten osobliwy czuję się w obowiązku podać do szerszej wiadomości, nie siląc się nad odgadnięciem pytania, czy był w tem tylko traf, czy rzeczywiście jak chcą niektórzy, instynkt wdzięczności w dzikim ptaku. *Bronisław Ryx.*

ZGON SARNY.

(*Lamartine*).

Niewinna, rozkoszna sarna wesoło biegała po zielonej polance u brzegu lasku. Od czasu do czasu nadstawiła uszu, uderzyła kopytkami, grzała się o promienia wschodzącego słońca, oskubnęła tu i owdzie młody listek, a czując zupełne w około siebie bezpieczeństwo i samotność, cieszyła się swobodą i wolnością.

Ja byłem synem myśliwego; dziecięce lata moje przepędziłem między leśniczymi, wiejskimi księżami i szlachtą, którzy sfory psów swoich gończych łączyli ze sforami psów ojca mego. Nigdy nie zastanowiłem się nad dzikiemi popędami człowieka, który w mordowaniu upatruje przyjemność, który się cieszy widokiem śmierci, który bez potrzeby, bez prawa, bez litości wydziera i pozbawia życia zwierząt, które w stosunku do człowieka miałyby toż samo prawo, gdyby tak samo były bezlitośne, również jemu były uzbrojone i tak srogie w sprawianiu sobie przyjemności. Pies mój przystanął, strzelbę miałem w ręku, a sarna na strzał przedemną. Zawahałem się, jakieś nieznane mi dotąd uczucie żalu, namysłu, odradzało mi zniszczyć tak rozkoszne życie, taką uciechę i radość życia, taką niewinność zwierzęcia, które mi nigdy nic złego nie uczyniło, które rozkoszowało temi samemi promieniami słońca, tą srebrną rosą, tą świeżością rannego powietrza, tą wonią lasu — jak ja, — które stworzone przez tegoż samego stwórcę, obdarzone uczuciem rozkoszy i cierpienia, posiadające władzę myśli, połączone węzłami miłości, przyjaźni i obowiązków względem istot podobnych mu w lesie, jak ja względem istot w społeczeństwie ludzi; które szukało brata, przyjaciela; na które w lesie czekała matka, a może i dzieci. Nic nie pomogły te wszystkie refleksye... Mechaniczny popęd przyzwyczajenia zwyciężył; zamilkło szlachetne serca uczucie, które przed chwilą wzdrygało się przed popełnieniem morderstwa.

Padł strzał.. sarna z boleści zrobiła ostatni skok i z zgruchotaną przednią łopatką padła na murawę zafarbowaną krwią własną.

Gdy wiatr rozwiał dym strzału, przystąpiłem bliżej, przejęty dreszczem, żalem, wzdrygnąłem się na widok mej zbrodni. Nieszczęśliwa sarna żyła jeszcze, spojrzała na mnie oczami, które łzy zalewały. Nigdy nie zapomnę tego wzroku przenikającego, któremu boleść, żal za swemi, przerażenie, śmierć niespodziana wlały głębokie uczucie ludzkie. Oko zamierające przemawia przerażająco.

Wzrok jej wyrażał serce rozdzierający zarzut mego okrucieństwa: Kto ty jesteś? Ja ciebie nie znam, nie obraziłam cię nigdy, dlaczegożeś ugodził mię śmiertelnie? Dlaczegoż wydarłeś mi moją cząstkę tego pogodnego nieba, tego światła słonecznego, tego powietrza, moją młodość i uciechę życia mego niewinnego? Cóż się stanie z dziatwą moją, która mię w gęstwinie oczekuje, która mię już więcej nie obaczy, która z boleścią tylko obwąchiwać będzie krew moją przelaną na tej murawie? Ja ci jednak przebaczam, w oczach moich nie ma gniewu, łagodną jestem z natury nawet dla mego mordercy, mam tylko zdziwienie, boleść mą i łzy dla ciebie.

Taką była mowa ócz śmiertelnie ranionej sarny. Zrozumiałem ją — jak gdyby mię błagała: „Zadaj mi śmierć — skończ boleść moją“ — co stwierdziły kurczowe drgania jej członków. Za najdroższą cenę byłbym ratował jej życie, lecz to było niemożliwem. Pochwyciłem powtórnie broń — tym razem z litości — a odwróciwszy oczy, drugim celnym strzałem skróciłem jej męczarnię. Z obrzydzeniem odrzuciłem daleko od siebie mordercze narzędzie, i przyznam się, żem się nad ofiarą moją rzewnie po raz pierwszy rozpłakał. Nawet pies mój stał poruszony, nie wąchał krwi, nie dotknął się trupa, spokojnie usiadł u nóg moich i patrzył mi w oczy, a wzrok tego niemego świadka przerażał mię. Dreszczem przejęty, jakby po spełnieniu zbrodni wielkiej, opuściłem to miejsce, zostawiając ofiarę moją — losowi.

Od tego dnia nigdy już nie chodziłem na polowanie. Postanowiłem pozbyć się raz na zawsze tej dzikiej przyjemności w mordowaniu, tej okrutnej samowoli myśliwego, który bez potrzeby, bez prawa, bez litości, wydziera istotom życie, którego im powrócić nie może. Poprzysiągłem, nigdy więcej nie odbierać mieszkańcom lasów, ptakom niebieskim ani na chwilę ich uciechy życia, ich cząstki światła słonecznego. Radość ich z tych ogólnych darów stwórcy jest krótsza od naszej, czyż mamy prawo im je skracać bez potrzeby?!

Konie arabskie

(*wyjątek z dzieła: „Les chevaux du Sahara par M. Daumas*).

Chcę podać kilka nowych wiadomości o obchodzeniu się Arabów z końmi swemi, a szczególniej opisać udział, jaki biorą kobiety arabskie w życiu tego szlachetnego zwierzęcia.

Konie nasze są mniej więcej niewolnikami ludzi; człowiek jest dla nich tyranem, ich samowolnym panem, który sobie nie umie zjednać ich zaufania do siebie ani ich przyjaźni. Jako rzeczywiści niewolnicy, nie lubią swych panów, gdyż żaden nie lubi ich, nie pielęgnuje ich, a ocenia je tylko jako produkt gospodarstwa, którego się jak może prędko pozbywa, jak każdy inny towar sprzedaje, jak jaki mebel według humoru zamienia. Psy przywiązują się może do nas dlatego, że ich nie sprzedajemy.

Arabowie mają konia za wiernego, oddanego im przyjaciela; koń, że się tak wyrażę, wchodzi w skład ich rodziny, w której jak wszędzie, kobieta odgrywa ważną rolę. Łagodnosć, czujność, ciągła troskliwość kobiet daje podstawę do tego związku, który między jej mężem a koniem nieprzerwanie istnieć ma. W podróży, na wojnie z daleka od domu, opiekuje się jeździec swym koniem; w namiocie, w spokoju pielęgnuje i żywi kobieta wiernego towarzysza broni.

Rano podaje mu żywność, pieści go, wyczesuje grzywę i ogon. Gdy miejsce na którem stoi jest nierówne, pokryte kamykami, wyszukuje dlań miejsce odpowiedniejsze do spoczynku. Rozmawia z nim, głaszcze go po szyi i głowie, podaje mu chleba, *kuskussu* (pieczywo z kukurudzy z tłuszczem baranim) daktyle i od czasu do czasu nawet suszone na słońcu mięso. „Jedz mój synu“, mówi do niego w łagodnym i serdecznym tonie, „pewnego dnia wyratujesz nas z rąk nieprzyjaciela, przyniesiesz zdobycz w namiot nasz“.

Kobieta arabska zbiera na pustyni dla swego ulubieńca obfite zapasy ziół, które są znane z pożywnych i posilających własności. Gdy powracając do namiotu spostrzeże, że dzieci uwiązane w namiocie konie drażnią, z daleka już na nie woła: „Dzieci, nie znęcajcie się nad końmi! Oni są waszemi wyżywicielami. Czy chcecie, aby Bóg zesłał nieszczęście na namiot nasz? Gdy to jeszcze raz zrobicie, powiem ojcu waszemu“.

Pod tym względem jest arabka nieprzebłaganą, nie darowałaby nawet mężowi własnemu, gdyby się nie troszczył o konia swego. Koń jest jej zaszczytem, jej bogactwem; ona jest dumną z niego; ona jest odpowiedzialną za wszystko, co konia dotyczy. Gdyby się przekonała, że jej przedstawienia, jej prośby nie odnoszą

skutku, nie zawahałaby się wnieść o to skargę do naczelnika plemienia: „O Panie, ty wiesz, że koń nasz jest całym majątkiem naszym; mąż mój zmusza go do natężających, niepotrzebnych marszów: on znęca się nad nim. Gdyby on chociaż w domu troszczył się o niego! Lecz i to nie; jego nakrycie jest podarte, żywność niedostateczna, nie bywa należycie pojonym. W imię Boga wzywam Cię Panie, skarćcie go za to, naprowadźcie go na drogę ojców naszych; nie powiedźcie mu jednak, żem ja was o to prosiła".

Naczelnik plemienia, któremu na tem zależy, aby w wyprawach jego towarzyszyli mu jeźdźcy tylko o zdrowych, rączych koniach, nie zaniedba nigdy korzystać z takiego doniesienia. Każe zawołać winnego do siebie, ostro go karci i grozi, że mu konia odbierze, gdy się nie poprawi, i że pieszo chodzić będzie musiał. Potem odprawia go słowami: „Zrozumiałeś mię, idź i pamiętaj, że na świecie honor od strzemion się zaczyna, a na siodle kończy".

Przestroga ta nigdy nie pozostaje bez skutku, nietylko co do skarconego, ale i co do tych, którzyby chcieli pójść za przykładem jego. Tak starają się Arabowie, bądź z miłości własnej, bądź z bojaźni przed karą wpoić wszystkim członkom plemienia miłość dla swych koni.

Po południu, stosownie do pory roku, prędzej lub później, prowadzi kobieta konia do pojenia, gdy źródło jest blizko, a gdy jest daleko, sama przynosi wodę dla niego. Gdy wcale nie ma wody, podaje mu mleko owcze lub od wielbłąda. Wtedy przedstawia się ciekawy widok w namiocie Araba. Często widzieć można między nogami koni, pośród gromadki malowniczo ubranych dzieci, obok sokołów trzepocących skrzydłami, biegającemi wyżłami, gazelę, antylopę lub strusia, które skrzętnie się uwijają, aby pochwycić kilka kropel wody, której tak mało w pustyni, a której ulubieńcowi rodziny tak hojnie podają.

Zbliża się wieczór. Na widokręgu pokazuje się punkt ciemny. Jestto młodzież osady, powracająca na koniach zgłodniałych i zmęczonych; cały dzień przepędzili na polowdniu bez jadła i bez picia. Za nimi ciągną wielbłądy obładowane wszelką dziczyzną pustyni. Mimo tak obfitej zdobyczy nie minie ich nagana: „Wy młodzi ludzie", woła z gniewem matka, „nie wstydzicie się tak męczyć konie za mizerną dziczyzną. Lepiej byście zrobili, gdybyście je zachowali i zaszanowali na ten dzień, w którym ślina w ustach wysycha, w którym żaden majątek życia nie okupi".

W czasie wielkich upałów, wprowadzają kobiety swe konie do namiotu, chroniąc je od żaru słońca. Myją je, czeszą i przywią-

zują u szyi worek z jęczmieniem. Każdy koń otrzymuje żywność stosownie do wieku, usposobienia lub pracy, którą spełnić ma. Takie troskliwe pielęgnowanie, codzienne łagodne obejście się, sprawia, że konie stają się poufałemi i mądremi; rżą radośnie, gdy ujrzą swoją opiekunkę, skłaniają ku niej głowy do głaskania. Same przychodzą do niej, ona sama je sprowadza do namiotu i według upodobania, tego lub owego własną ręką łapie na szerokiej pustyni; a gdy to kogo zadziwia, odpowiada z prostotą: „Czyż koń nie zna tej ręki, która go żywi i czeszy? Bawiąc się za nami, wspinają się i zwolna kładą swe przednie nogi na nasze ramiona, chwytają zębami za wełnę młode, zbłąkane jagnięta, i przynoszą je pod namiot. Wciskają się często nawet do namiotu i biorą z pod ręki *kuskussu*. Czyż to nie ja daję im w stosownym czasie mleka i jęczmienia, aby ich brzuch był wązki, pierś szeroka, a nogi silne? Gdy biegną obok gazelli, czy znajdziecie różnicę w ich biegu. Ten sam układ piękny, ta sama siła i śmiałość w skoku, ta sama szybkość w biegu, Równie jak u gazelli, mają konie nasze wysoko osadzone oczy, słuch delikatny, żylaste nogi, i twarde kopyta. Ich rączość i siła w spokoju żywi nas, w niebezpieczeństwie ocala życie“.

Dawne myśliwstwo w Rosyi.

Z dzieła zbiorowego o wewnętrznych stosunkach Rossyi, pisanego w r. 1740 i 1741 wyjmujemy następujące ciekawe daty o myśliwstwie: „W okręgu 50 wiorst w około Petersburga nie wolno było strzelać *zwierząt i ptaków*. Przekraczającego czekała *ciężka kara* i skazanie do ciężkich robót w Syberii. Później zaostrzono ponownie ten zakaz i rozszerzono go na okręg Wiborgu i na całą Ingermanlandyę. — Polowanie na jelenie i na sokoły było w całym kraju zakazane. Wyjątkowo dozwolono polować tylko na sokoły w gubernii archangielskiej i to tylko Holendrom i poddanym rzym. cesarzy dla ich dworów, dla okazania nadzwyczajnej łaski dla tychże. Cesarzowa Anna była nadzwyczajną zwolenniczką św. Huberta, i dla niej urządzony był w Petersburgu osobny park, ogrodem myśliwskim zwany. Jak wiele utrzymywano tam zwierzyny, okazuje się ztąd, że cesarzowa w jednym dniu przy pogonce położyła własnoręcznie: 9 jeleni, 16 dzikich kur, 4 dziki, 1 wilka, 374 zajęcy, 68 dzikich kaczek i 16 wielkich ptaków morskich, którą to zadziwiającą wytrwałość w mordowaniu mas raczej przypisaćby należało jakiemu pruskiemu strzelcowi, w tym wypadku

jednak przeważną część galanteryi dworaków wobec swej monarchini. Charakterystycznym jest także sposób żywienia niedźwiedzi w tym zwierzyńcu. Gildia handlarzy mięsem musiała dbać o wyżywienie tych zwierząt i zaostrzono jej, aby niedźwiedzie nie cierpiały głodu, gdyż za to czekała starszyznę gildyi sroga kara, niedźwiedzie te bowiem przeznaczone były do polowania z nagonką dla dworu. W roku 1741 przedłożyli rzeźnicy rachunek na kwotę 2334 rubli za żywienie niedźwiedzi, cesarzowa jehnak rozkazała odrzucić ten rachunek.

Sprawozdanie
z czynności Wydziału galic. Tow. ochrony zwierząt
od 1. Lipca do końca Listopada 1882.

Podania do władz:

a) **do c. k. Dyrekcyi policyi:**

1) o wydanie zakazu przedsiębiorstwu „Posługaczów“ łączenia dwóch wozów przy przewożeniu mebli; — zakaz został wydany pod zagrożeniem kary;

2) o ukaranie dorożkarza Nr. 170 za gburowatą odpowiedź na uwagi członka Tow.; — ukarany grzywną 10 złr.;

3) o ukaranie Antoniego Dydyńskiego, urzędnika Magistratu, trudniącego się oraz przedsiębiorstwem dostawy piasku, za używanie koni złą uprzężą poranionych; — za wstawieniem się samego oskarzyciela ukarany grzywną tylko 1 złr.

b) **do Prezydyum c. k. Dyrekcyi policyi**: o polecenie fijakrom, dorożkarzom, włościanom stojącym na placach targowych przykrywania koni w porze zimowej, o nadzorowanie przewozu drzewa i węgli ze składów i dworców do miasta, prawidłowego podkowania koni, i posypywania piaskiem torów kolei konnej w czasie gołoledzi w częściach ulic: Grodec iej, Żółkiewskiej i na placu Krakowskim; — odpowiedź jeszcze nie nadeszła;

c) **do Komitetu c. k. galic. Tow. gospodarskiego**: o poparcie podania naszego do c. k. Namiestnictwa o zmianę sposobu cechowania bydła; — Komitet rzeczonego Tow. wniósł w tej sprawie osobne podanie, i wydał okólnik do Rad wszystkich Oddziałów swoich o zbieranie faktów i udzielanie tychże komitetowi jak najspieszniej.

d) **do c. k. wojskowej komendy**: o zakaz felweblowi Michalewskiemu strzelania ptaków w ogrodzie prywatnym pod Wysokim Zamkiem.

e) **do Prezydyum Magistratu:**

1) o odpowiednie zarządzenie a względnie zamknięcie góry piaskowej w celu uchylenia niebezpieczeństwa grożącego ludziom i koniom przez usuwanie się piasku i zapobieżenia dręczeniu tamże koni; — górę zamknięto aż do usunięcia niebezpieczeństwa;

2) o rewizyę wszystkich stajeń krowich, utrzymywanych przez przedsiębiorców dostawy mleka; wskutek tego, zrewidowano 20 stajeń przez osobną do tego wydelegowaną komisyę sanitarną przy współudziale sekretarza Towarzystwa, nakazano właścicielom uskutecznić w nich pewne ulepszenia i adaptacye pod względem zdrowotnym jako to: odpowiednią wentulacyę, uregulowania odcieków ubezpieczenie od ognia, wypuszczanie krów codziennie na świeże powietrze lub na pastwiska i t. p. — a 3 stajnie zsmknięto. — Co do pojemności stajeń i ilości trzymanych w nich krów wydał Magistrat odnośne obwieszczenie (ob. str. 164 *Obwieszczenie*);

3) o ukaranie p. Henryka Towarnickiego, c. k. emer. nadporucznika za strzelanie ptactwa w ogrodzie własnym i sąsiednim; — ukarano grzywną 5 złr., którą c. k. Namiestnictwo wskutek rekursu obwinionego — zatwierdziło;

4) o urządzenie żerowisk dla ptaków w zimie na plantacyach i ogrodach publicznych miejskich, lub subwencyonowanie Towarzystwa, które już od lat kilku żywi ptaki w zimie na Wysokim Zamku ze składek członków;

5) o polecenie Zarządowi czyszczenia miasta i robót publicznych, aby do robót gminnych nie używał koni słabych, widocznie zbiedzonych, nieprawidłowo podkowanych, z nieodpowiednią uprzężą, o udzielenie strażnikom i dozorcom instrukcyi, aby nie dopuszczali przeciążania, bicia koni kijami a nawet łopatami żelaznemi, o czem otrzymaliśmy wiarogodne doniesienia.

Nie wątpimy, iż Prezydent miasta wyda stosowne polecenie — Oprócz tego za interwencyą Wydziału wydał rabin lwowski Ornstein polecenie *schechterom*, aby przy zabijaniu wołów na koszer wprowadzili do rzeźni po jednemu wołu, tak iżby następny nie patrzył na rzeź poprzedniego. O takież same względy humanitarności, prosiliśmy ustnie jednego funkcyonującego przy rzeźni urzędnika Tow. spożywczego, które wyłącznie rznie woły na koszer bez poprzedniego odurzenia. Na to odpowiedział nam, że zarzynanie jednego wołu nie robi na drugich, razem leżących, żadnego przy-

krego wrażenia, gdyż tym ze strachu oczy zachodzą białkiem, one nic już nie widzą i nie wiedzą co się około nich dzieje. — Uzyskamy wkrótce z urzędu zakaz takiej chrześciańskiej humanitarności.

Rakarnia lwowska znajdująca się dotychczas w stanie zupełnie prymitywnym doznała w tym roku niejakiego małego ulepszenia w adaptacyi dla psów, które w terminie do reklamowania przeznaczonym utrzymywane będą w zimie w komórce murowanej, i nieco ogrzewanej, a nie jak dotychczas w szopie drewnianej, prawie otwartej, gdzie w klatkach żelaznych podczas tęgich mrozów literalnie przemarzali; klatki żelazne otrzymają wysuwalne podłogi drewniane tak urządzone, że odcieki zbierać się będą w rynienki odpływowe, a przeto zapobieże się zawilgoceniu klatek i lokalu samego.

Od Nowego roku otrzyma rakacz miejski nowy wózek, do którego wsadza psy złapane na ulicach miasta. Wózek ten nieco obszerniejszy będzie przedzielony na dwie nierówne części, na psy małe pokojowe i na psy duże, wiejskie, podejrzane lub widocznie chore. — Psy złapane wsadzane będą z tyłu za otwarciem pół ścianki tylnej, która tworzyć będzie podporę, po której psy wpychane będą do wózka, a nie jak dotychczas, że podnoszono psa aż na daszek budki i ztamtąd go wtrącano, co zwykle połączonem było z wielkiem udręczeniem a często i zaduszeniem psa. — U boku będzie zasuwalna kratka do wypuszczania. Wewnątrz obity będzie wózek blachą cynkową, dla łatwiejszego przeprowadzenia desinfekcyi i utrzymywania w nim czystości.

Wózka ratunkowego (ambulacyjnego) dla zwierząt przypadkowo na ulicy okaleczałych lub chorych gmina stołecznega miasta Lwowa dotychczas nie posiada, i posługuje się jakimś prymitywnym przyrządem o dwóch kółkach, który od biedy służyćby mógł tylko dla zwierząt padłych. Wypadek niedawno zaszły we Lwowie, w którym posługiwano się tym przyrządem w celu przewiezienia konia ze złamaną nogą wywołał u ludności, która była mimowolnym świadkiem tak barbarzyńskiego postępowania ze zwierzęciem, tak mocno cierpiącem, najwyższe oburzenie. — Widok tej operacyi był wprost demoralizującym. To zniewoliło nas do poczynienia kroków u gminy celem sprawienia odpowiedniego wózka ratunkowego. — Gdyby Towarzystwo posiadało jakikolwiek fundusz dyspozycyjny, jaki inne Towarzystwa już posiadają, byłoby to jego pierwszym obowiązkiem, własnym kosztem sprawić odpowiedni wózek ambulacyjny i oddać go na usługi gminie, a przyczyniłoby się to nietylko do dobra nieszczęśliwych zwierząt ale i dla dobra ludzkości. Takie brutalne postępowanie ze zwierzęciem, przypadkowo tak ciężko okaleczałem,

a które, jak twierdzono, przez lat trzydzieści było w ciągłych usługach dla człowieka wywołało na mimowolnych świadkach tej sceny powątpiewanie, ażali ludzkość i litość nie są tylko czczemi frazesami.

Pora zimowa nastręcza ludziom daleko więcej sposobności do dręczenia zwierząt, dla tego zwracamy uwagę P. T. członków Towarzystwa, na wniesione przez Wydział do władz przedstawienia, które wtedy tylko odniosą skutek pożądany, jeżeli z zdwojoną czujnością śledzić i wskazywać będziemy władzom nadużycia, gdzie tylko takowe spostrzeżemy. Władze chętnie spełnią swój obowiązek, nie są jednak w stanie wszystkiego dostrzedz i wszystkiemu zapobiedz. Musimy z naszej strony podawać do wiadomości władz wszelkie braki i nadużycia, bez względu na osoby, a gdyby kto sam na nieprzyjemności ztąd narażać się nie chciał, niech fakt wiernie opisany z podpisem własnym przeszle na ręce sekretarza, który nie zaniecha rzecz samą zbadać i takową do wiadomości władz podać.

Feliks Lewandowski,
sekretarz Tow.

Ustawy i rozporządzenia:

Stajnie dla krów.

L. 18757/VI/82

OBWIESZCZENIE.

Komisya zdrowotna z ramienia Rady miejskiej i Magistratu ustanowiona zwiedziwszy w miesiącu maju b. r. krowiarnie, produkujące mleko we Lwowie, przekonała się: że we wszystkich prawie stajniach umieszczaną bywa ilość krów za wielka w stosunku do rozległości stajen.

Takie przepełnienie pozbawia krowy wszelkiej swobody w ruchach i oddziaływa przez to z powodu powstającej ztąd duszności i gorąca w stajniach, zwłaszcza porą letnią — nader niekorzystnie na stan zdrowia krów a pośrednio także na ludzi używających wydojone z takich krów mleko.

Co do pomieszczenia krów postanawia się więc niniejszem ze względów hygienicznych, że na każdą sztukę przypaść musi w stajni stanowisko o szerokości 1.20. metra, zatem tyle tylko krów trzymać wolno w stajni, ile razy podana szerokość stanowiska (po 1 20. metra) mieści się w całej długości stajni.

O czem Magistrat PP. przedsiębiorców mleczarń zawiadamia celem ścisłego zastosowania się pod rygorem grzywny.

Magistrat kr. stoł. miasta
we Lwowie dnia 25. sierpnia 1882.

KORESPONDENCYE.

Rozdół. *Barbarzyństwa rzeźników żydowskich.* Przed kilku dniami byłem naocznym świadkiem barbarzyństwa popełnianego regularnie co dnia przez tak zwanego „*schechtera*" żydowskiego w Mikołajowie. Tenże rzeźnik zamieszkuje wielką austeryę przy gościńcu i z całego miasta do niego znoszą drób i cielęta, aby je żydowskim zwyczajem na koszer zarzynał; otóż jak on to czyni?...

Zajechawszy do oberzy ujrzałem trzy na hakach niedorznięte gęsi głową na dół wiszące i scamozące się w konwulcyjnych drganiach. W tem otwierają się drzwi od mieszkania owego *schechtera*, a z tychże wylatuje zarznięty lecz jeszcze z śmiercią pasujący się kogut a tuż za nim dziewczynka maleńka (córka rzeźnika) i nuż zaczyna drobnemi nogami deptać po kogucie. Za chwilę wychodzi sam *schechter*, młody żyd z uroczystą miną z kaczką w ręku, a nożem w zębach i rozpoczyna następującą operacyę. Bierze kaczkę między nogi, zwija trzy razy skrzydła jak gdyby w warkocz i łamie je żywcem, podgina dziób kaczki do góry, obskubuje ze szyi pióra i po niejakim namyśle czy może wzniosłej modlitwie tnie nożem. Operacya ta zrobiła na mnie wrażenie bardzo przykre i oburzyła do tego stopnia, że tylko szybkonogiej zdolności zawdzięcza ów rzeźnik całość swoich kości. Udałem się do miejscowego burmistrza p. Mićkiewicza, który natychmiast osobiście ustnie żyda skarcił i zagroził ukaraniem. Co się później stało, nie wiem, tylko tyle mi wiadomo, że rzeźnicy żydowscy wszędzie czynią to samo, a tylko energiczne wkroczenie żandarmeryj i surowe zastosowania do nich ustawy o ochronie zwierząt, mogłoby położyć tamę temu bezprzykładnemu nadużyciu. Nikt nie jest tak okrutnym dręczycielem zwierząt jak żydzi. Policya codziennie ma na to tysiące dowodów. Dosyć stwierdzić, iż nie ustały dręczenia cieląt, wiązanie i przewożenie kur w workach lub też przeładowywanie kojców, — zabijanie w okrutny sposób koni, — przeładowywanie wozów ciężarowych i wiele innych. — Nadchodzi pora gołoledzi; jakież to straszne męczarnie koni niekutych ostro. Wszędzie po gościńcach, jak co roku, znowu będzie można widzieć krwią zbryzgane ślady, gdzie nieszczęśliwe zwierzęta z gładkiemi podkowami doznały szwanku. Krew ta pochodzi zdaje się z dziąseł końskich które zębami i wargami uderzają o lód. Dobrzeby było, gdyby szanowne Towarzystwo ochrony zwierząt udało się do c, k. Namiestnictwa, by wyjednać okólnik dotyczący tej sprawy do wszystkich starostw i gmin, by pilnie na to baczono, aby każdy woźnica miał dobrze podkute konie

a zaniedbanie tego, aby karano dotkliwemi grzywnami to jedynie pomódz może. Mało jeszcze ludzi widzi zbrodnię w tem barbarzyńskiem postępowaniu ze zwierzętami, a to co już niedaleko granic naszego kraju wywołałoby oburzenie, u nas uchodzi obojętnie. Wielu jeszcze bardzo w kraju mamy dręczycieli, lecz także wielu a może więcej jeszcze spektatorów obojętnych, którzy nie są lepsi od pierwszych. Daremnie też szukajcie dziś uczucia delikatniejszego nawet u dzieci i kobiet, co jest naturalnym wynikiem naszej obojętności, na cierpienia i krzywdy zwierząt.

Rozdół 14. listopada 1882. *E. F.*

Rozmaitości.

Przyjaciółka zwierząt. W Petersfieldzie (Hampschire), zmarła niedawno pewna bogata pani, która znaczną część swego ogromnego majątku zapisała testamentem humanitarnym zakładom dla zwierząt. I tak zapisała królewskiemu Tow. ochrony zwierząt w Londynie legat w kwocie 6.000 funtów szterlingów; — tamtejszemu Tow. do urządzania fontan i poideł dla zwierząt 2.000 funt. szt., a przytulisku dla psów zbłąkanych i opuszczonych, istniejącemu od r. 1860 w Londynie 1000 f. szt. i t. d. Uniwersalnym spadkobiercą postanowiła męża swego pod tym jednak warunkiem, że natychmiast po jej zgonie, ulubioną jej kotkę czarną uśmierci chloroformem.

Psy we Wiedniu. Do c. k. wojskowego zakładu weterynacyjnego w Wiedniu oddano we wrześniu b. r. 28 a w październiku 35 psów pod obserwacyą i skonstatowanie ich zdrowia, z których tylko 3 buldogom i 5 psom złośliwym polecono zakładać kagańce. Resztę zaś uznano jako zdrowe i nieszkodliwe i oddano właścicielom bez wszelkiego zastrzeżenia.

Сѣкорка.

Уже подули вѣтры студенѝ,
На сине небо нагнали хмаръ,
А зъ ними завили бурѣ шаленѝ
Снѣгомъ покрывъ ся нашъ земный шаръ.

Нагимъ галузьемъ скрипитъ деревина,
Глухѝ намъ стали лѣсы и гаѣ,
Бо въ нихъ затихла спѣвна пташина,
Спѣвъ свôй понесла въ теплѣйшѝ краѣ!

Корчикъ свôй зеленый лишивъ соловѣй,
И бузько своеи ôтрѣкъ ся оборы,
Перепеличка забула на загонець свôй,
Журавлѣ и гуси утѣкли за горы!

Всѣ, що зъ весною до насъ прибули
И у насъ теплыми тѣшили ся днями,
Теперь, недобрŷ! на насъ позабули,
Самыхъ насъ лишили межи снѣгами!

Лише ты, сѣкорко, птичко едина!
Коли снѣги нашŷ укрыли стрѣхи,
Ты, якъ до мамы добра дѣтина,
До нихъ вертаешь для нашой потѣхи!

Коли дерева ще цвили въ нашихъ садахъ,
Коли въ нихъ ще птичокъ пѣсни гомонѣли,
Ты покôрненька, крылась ся въ лѣсахъ,
А до насъ вернулась, якъ вни насъ лишили.

Тебе не прогнала зима студена,
И не занѣмѣли дрôбненькŷ тŷ груди,
Тебе моя птичко неутруджена,
Нынѣ почуешь и побачишь всюди.

Буяйже свобôдно по нашихъ садахъ
Садôвничко мила, чисть намъ деревину,
Прiятелько наша въ тыхъ сумрачныхъ дняхъ
Щебетомъ твоимъ весели н мъ зиму.

Смѣло, миленька, пôдъ мое ôконце
До смачного обѣду що дня прилѣтай,
Тутки въ полудне пригрѣвае сонце,
И на лють студену, тутки забувай!

А коли зъ весною птички обôзвутъ ся,
И чудными пѣснями згомонитъ намъ гай,
Якъ они зъ весною до насъ вернутъ ся,
Такъ ты въ зимѣ, любко, до насъ зновь вертай!

Роздôлъ въ Листопадѣ 1882.

SIKORKA.

Uże poduły witry studeni,
Na syne nebo nahnały chmar,
A z nymy zawyły buri szałeni,
Snihom pokrywsia nasz zemnyj szar.

Nahym hałuziem skrypyt derewyna,
Hłuchyi nam stały lisy i haji,
Bo w nych zatychła spiwna ptaszyna,
Spiw swij ponesła w teplijszi kraji.

Korczyk swij zełenyj łyszyw sołowij,
I buśko swojej odrik sia obory
Perepełyczka zabuła na zahoneć swij,
Żurawli i husy utikły za hory.
Wsi szczo z wesnoju do nas prybuły,
I u nas tepłymy tiszyły sia dniamy;
Teper, ne dobri! na nas pozabuły
Samych nas łyszyły meży snihamy.

Łysze ty, sikorko, ptyczko jedyna
Koły snihy naszi ukryły strichy:
Ty, jak do mamy dobra dityna,
Do nych wertajesz dla naszoj potichy.

Koły derewa szcze cwyły w naszych [sadach,
Koły w nych szcze ptyczok piśni ho- [moniły
Ty pokorneńka kryłaś sia w lisach
A do nas wernułaś jak w' ny nas łyszyły.

Tebe ne prohnała zyma studena
I ne zanimiły dribneńki ty hrudy,
Tebe moja ptyczko ne utrudżena,
Nyni poczujesz i pobaczysz wsiudy.

Bujajże swobidno po naszych sadach,
Sadiwnyczko myła, czyśt' nam derewynu

Prijatelko nasza w tych sumracznych [dniach
Szczebetom twoim weseły nam zymu.

Śmiło myłeńka pid moje okońce,
Do smacznoho obidu szczo dnia prylitaj;
Tutky w połudne pryhriwaje sońce,
I na lut' studenu tutky zabuwaj!

A koły z wesnoju ptyczky obizwutsia,
I cudnymy piśniamy zhomonyt nam haj;
Jak ony z wesnoju do nas wernutsia,
Tak ty w zymi, lubko, do nas znow [wertaj.

Rozdił w Łystopadi 1882.

OGŁOSZENIA.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie pod zarz. St. Baylego.